

Prof. dr Michał Szczaniecki

Prezes Zarządu Wojewódzkiego TRZZ w Poznaniu

Chlubne tradycje

W dniach 15 i 16 września całe społeczeństwo polskie łączy się z organizowanymi przez TRZZ obchodami dla upamiętnienia walki ludu polskiego z naporem germanizacyjnym, które odbywają się w wielu miejscowościach Wielkopolski i Krainy. Wiążą się one z szeregiem zbiegających się rocznic, a więc przede wszystkim z rocznicami związanymi z pamięcią Michała Drzymały i jego historycznego wozu (105 lat od urodzenia, 55 lat od wystąpienia z wozem, 25 lat od zgonu), z 40-tą rocznicą powstania Związku Polaków w Niemczech, z rocznicą wrześniową. Różne manifestacje odbywające się w wielu miejscowościach „na szlaku Drzymały” w Zdroju i Grodzisku, miejscach związanych z urodzeniem Drzymały, w Drzymałowie jako miejscu jego wystąpienia z wozem, w Grabównie i Miasteczku Krajeńskim, miejscach związanych z ostatnimi latami jego życia i jego grobem, a również w Pile.

Potrzeba więc zastanowić się nad głębszym sensem i niejaką nad „hierarchią” tych wszystkich obchodów, inaczej mówiąc, należy postawić sobie trzy pytania: która z wymienionych rocznic wysuwa się na czoło? Która z manifestacji przybierze charakter manifestacji głównej, centralnej? Dlaczego rolę organizacji omawianych obchodów objęło Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich?

Lat temu 55, w 1907 r., we wsi zwanej wówczas Podgradowicami, chłop wielkopolski Michał Drzymała poruszył opinię całego narodu gdy, wobec zakazu ze strony władz pruskich pobudowania się na własnym gruncie, wybrał sobie jako mieszkanie wóz cyrkowy. Wydarzenie to w opinii kraju i zagranicy stało się symbolem nieugiętej walki chłopów polskiego o polską ziemię. Ziemię polską pod zaborem pruskim przeżywały przecież wówczas okres wzmoczonego ucisku germanizacyjnego, okres, w którym Niemcy zdolali co dopiero wyeliminować całkowicie język polski ze szkół, w którym niemieczyna, znajdując silne oparcie w kapitalistycznych niemieckich sferach miejskich oraz wśród pruskich junkrów władających większością wielkiej własno-

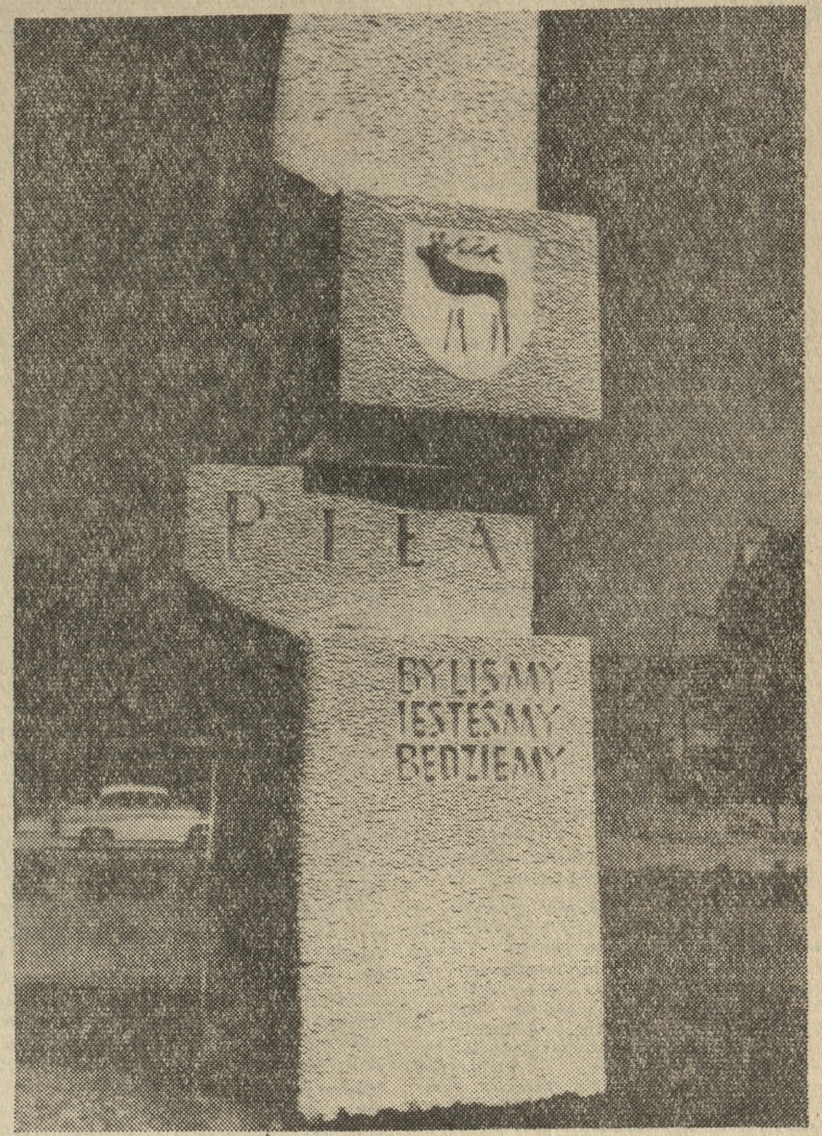
ści ziemskiej, przystąpiła do nieubłaganej walki z narodem polskim na polu ekonomicznym. Wtedy to walka o każdą piędź ziemi stała się najważniejszym zadaniem walczącego o życie narodu. A właśnie ziemia chłopów twardo broniła przez lud polski była wówczas jedyną jeszcze szerszą podstawą gospodarstwa życia polskiego. Toteż niezwykle fantazja Michała Drzymały, który odważył się na przeciwstawienie się własnymi siłami potęgze pruskiej administracji i żandarmerii wywołać musiało tak głębokie echo.

Spśród olbrzymiej masy chłopów polskich walczących o utrzymanie ojczystego zagonu, nazwisko jednego z nich, jednego z wielu, chłop wielkopolskiego Michała Drzymały urosło zaszczytnie do symbolu, do sztandaru polskiej walki narodowej. Czas na to by pamięć jego została odświeżona w pamięci społeczeństwa polskiego, by zapoczątkowane w tym roku jego obchody rocznicowe weszły na stałe do kalendarza narodowego. Dlatego też rocznica drzymałowska stanowi główną oś obecnych obchodów. Przecież wóz Drzymały to nie tylko jakiś odosobniony, działający na wyobraźnię społeczeństwa fragment z dziejów wsi wielkopolskiej w XIX w. to etap, cenne ogniwo w dziejach walki narodowej ludu polskiego, która miała go doprowadzić do wyzwolenia. Niewiele lat upłynęło od wydarzeń w Drzymałowie, gdy ten sam lud wielkopolski pokazał w krwawych bojach Powstania Wielkopolskiego, że również skutecznie jak o ziemię własną walczyć umie o ziemię wspólną, o ziemię ojczystą.

W wyniku I wojny światowej nie wszystkie ziemie polskie znalazły się w wyzwolonym państwie polskim. Pod zaborem pruskim pozostały również liczne rzesze ludu wielkopolskiego. Rozpoczął się nowy okres coraz to silniejszej germanizacji, spotęgowanej do szczytu w dobie hitlerowskiej. Na terenach dawnej Wielkopolski i Prus Zachodnich Niemcy utworzyli prowincję o rewizjonistycznej nazwie Marchii Granicznej Poznańsko-Zachodnio-Pruskiej ze stolicą w Pile, która miała w planach niemieckich stać się głównym ośrodkiem germanizacji ludności pogranicznej. Tymczasem lud polski stał nadal wiernie na straży tych ideałów, o

W centralnym punkcie Pily, społeczeństwo tego miasta wzniosło w czynie społecznym kamienny obelisk. Wryto na nim słowa, które wiążą się z trwającymi dziś uroczystościami:

Byliśmy, Jesteśmy, Będziemy



Fot. — Roman Zaranek

Marek Waclawski

Sam — przeciw potęgze pruskiego państwa

E poka, w której przyszedł na świat Michał Drzymała (13. 9. 1857 r. w Zdroju k. Grodziska) była brzemienna w wydarzenia. Rewolucja 1848 roku wykazała, że na arenę polityczną wstąpiły nowe siły społeczne — masy ludowe. Nie brany uprzednio pod uwagę w kalkulacjach politycznych nowy przeciwnik okazał się żywiołem twardo przeciwstawiającym się polityce germanizacyjnej. Skłoniło to pruskiego zaborcę do nasilania walki z wszystkim, co polskie, do stałego wzbogacania metod tej walki.

Wzrastał więc młody Michał w warunkach wzmoczonego ucisku narodowościowego. Ledwie skończył naukę, gdy język polski usunięto ze szkół. Kiedy w 1881 r. wraz z robotnicą folwarczną Józefą Vetter zakładał ognisko rodzinne, trwał od siedmiu lat zakaz używania mowy polskiej w urzędach stanu cywilnego. Jeszcze nie okrzepło ich gospo-

darstwo, gdy w 1886 r. sejm pruski przyjął uchwałę kolonizacyjną, która miała doprowadzić do wykupienia całej ziemi z rąk polskich. Powołana dla realizacji tego celu komisja kolonizacyjna dysponowała ogromnym aparatem organizacyjnym i potężnymi środkami finansowymi. Jej budżet wynosił na początek 100 mln. marek (równoważność posiadłości ziemskich w Wielkopolsce), a do roku 1915 przekroczył zawrotną sumę miliarda marek.

Na przekór uchwalonej ustawie Drzymała sprzedaje swoją działkę w Zdroju — Polakowi i rozpoczyna żywota wędrowną. Mieszka kolejno w Słocinie, Narożnikach, Rakoniewicach, by wreszcie osiąść w Podgradowicach w pow. wolsztyńskim. Tu, w roku 1904 nabyli Drzymałowie małą, niespełna 2 hektarową parcelę, na której rozegrały się historyczne wydarzenia.

W latach drzymałowej wędrowki nastąpiły fakty, które zaważyły na przyszłych losach tego wielkopolskiego chłopu. W 1896 r. dla wsparcia działalności komisji kolonizacyjnej powstało towarzystwo dla popierania niemieczyny, przekształcone w 1899 r. w Niemieckie Stowarzyszenie dla Marchii Wschodniej (Ostmarkenverein — niesławnie w historii zapisana HAKATA). Z inspiracji tej junkierskiej, nacjonalistycznej organizacji przyjęto w 1904 roku ustawę, której paragraf 13 b miał na celu zniesienie chłopu polskiego do posiadania i nabywania ziemi. Zabraniał bowiem wznoszenia zabudowań, jeżeli przedsięwzięcie takie miało charakter kolonizacyjny.

Kiedy więc Michał Drzymała, zebrawszy trochę zarobionego furmanieniem grosza, zamierzał się pobudować na nabytej w Podgradowicach działce, spotkał się ze zdecydowaną odmową miejscowych władz.

Drzymała wraz z żoną i pięcioma synami pozostał bez dachu nad głową. Nie myślał jednak ustąpić. Zamieszkał w zwykłej gospodarczej szopie. Prusacy wszczęli więc serię szykan. Rozrzucałi prymitywne piecyki, nakładali grzywny, karali aresztem. Nękali dniem i nocą.

Nie udało się prusakom tą drogą zmusić Drzymałę do wyzbycia się ziemi na rzecz niemieckich kolonizatorów. Ale oto ten pełen fantazji chłop udoskonala oręż swej walki. Za radą grodziskiego szynkarza

Dokończenie na str. 2

Jerzy Kuftuniak

„Was für ein Drzymala?” - pyta kanclerz Adenauer

N ie tylko kanclerz Adenauer nie wiedział kto to jest Drzymała. Nie wiedzieli tego również jego najbliżsi urzędnicy. Poinformował o tym dopiero kanclerza jeden z pracowników bońskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który pochodzi z Poznańskiego. Tak przynajmniej twierdzi zachodnioniemiecki profesor Gotthold Rhode w swojej publikacji pt. „Die deutsch-polnischen Beziehungen und ihre neuralgischen Punkte” („Stosunki polsko-niemieckie i ich neuralgiczne punkty”).

A przytacza ten przykład po to, by móc powiedzieć, częściowo dosłownie, częściowo w podtekście, mniej więcej tak: proszę bardzo — w Polsce każde dziecko zna „sprawę Drzymały” — jeden z faktów, który Polacy podnieśli do rangi symbolu („neuralgicznego punktu”) w stosunkach polsko-niemieckich. W NRF natomiast nikt już o tym nie pamięta, nawet kanclerz, który, gdy w jakiejś rozmowie padło nazwisko Drzymały, musiał zasięgać informacji, ponieważ sprawa „Wagen des Drzymały” jest mu całkiem obca. I skąd tu np. insynuacja o pruskich tradycjach w Niemczech Zachodnich itp.?

Przypadek zdarzył, że publikacja prof. Rhode ukazała się w tym samym roku, w którym obchodzimy uroczystości rocznicę śmierci Michała Drzymały — wielkopolskiego chłopu, który szczególnie bohatersko przeciwstawiał się pruskiej polityce germanizacyjnej i którego nazwisko stało się symbolem walki narodu pol-

skiego z tą polityką. Obchody ku czci Michała Drzymały zbiegają się z uroczystościami z okazji 40-lecia powstania Związku Polaków w Niemczech — organizacji posiadającej na swym koncie wielkie zasługi w umacnianiu poczucia narodowego wśród ludności polskiej, która po pierwszej wojnie światowej znalazła się w granicach Rzeszy. Centralne uroczystości z okazji tych dwu rocznic odbędą się w Pile, mieście, które wraz z całym obszarem ziem nadbałtyckich i nadodrzańskich powróciło do Polski w roku 1945. Wreszcie uroczystości te obchodzone są we wrześniu — miesiącu, w którym przypada 23 rocznica bandyckiego napadu hitlerowskiej armii na Polskę.

Rozegrały się te wszystkie fakty za życia jednego pokolenia i stanowią one szczególnego rodzaju doświadczenie: polityczno-społeczne, narodowe, osobiste poszczególnych jednostek. Ostatnie z tych „doświadczeń” — hitlerowska okupacja — kosztowały nasz kraj życie ponad 6 milionów ludzi. Właśnie, okupacja. Wśród pedantycznie ponumerowanych „neuralgicznych punktów” nie zabrakło i hitlerowskiej okupacji. Oczywiście, rzecz niesłychanie przykra — przyznaje prof. Rhode. Ale ciągle wracanie do tych spraw, przewrażliwienie Polaków na tym punkcie, utrudnia przełamanie pewnych oporów.

Należy przypuszczać, że prof. Rhode żałuje, iż nie może tutaj przytoczyć przykładu, jak to kanclerz Adenauer, usłyszawszy przypadkowo o hitlerowskiej okupacji w Polsce, do-

pytuje się, co to takiego? Byłby to przecież doskonały dowód stwierdzający, że wszelkie wołania o odradzającym się w NRF neohitleryzm są potwarzą, boć przecież proszę: nawet kanclerz nie pamięta co to takiego „okupacja hitlerowska w Polsce”. Co prawda w tym wypadku nie trzeba by się było zwracać po informację aż do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, bowiem w bliskim otoczeniu kanclerza łatwo byłoby odnaleźć takich, którzy aż nadto dobrze wiedzieliby „co to takiego”. Tylko czy zechcieliby głośno i prawdziwie powiedzieć o tym? Mamy co do tego poważne wątpliwości i dlatego, mimo profesorskich ubolewań, musimy i będziemy, nie tylko ze względu na nas — Polaków, pamiętać o tych sprawach. Nasz obowiązek pamięci o tych sprawach będzie tym większy, im bardziej prof. Rhode będzie nas zapewniał, że politycy zachodnioniemieccy zapomnieli o nich.

I to nie jest problem drażliwości, kompleksu. To po prostu sprawa trzeźwego, politycznego myślenia, które z określonych faktów czy wyciąga określone, logiczne wnioski, tak jak logicznym i ostatecznym załatwieniem problemu imperialistycznej agresji niemieckiej, której skutki odczuwała Polska na przestrzeni wieków, był nasz powrót w roku 1945 na nasze stare ziemie nad Odrą i Bałtykiem.

Dokończenie na str. 2

Edmund Grabkowski

sekretarz ZW TRZZ w Poznaniu

Dwa pomniki

Zamknięty traktatem wersalskim okres historyczny nie dla wszystkich Polaków oznaczał kres niewoli, kres doświadczenia odwiecznego naporu germanizacyjnego. Poza granicami nowego państwa pozostawały znaczne obszary ziem polskich. Nie stało się zadość i tym razem sprawiedliwości dziejowej. Zdecydował o tym spłot różnorodnych powiązań i interesów klas posiadających, wspólnych, zarówno dla zwycięzców jak i zwyciężonych. Można się tu powołać na znane machinacje państw imperialistycznych, biorących już wtedy w rachubę kalkulacje przyszłych rozrachunków z pierwszym państwem socjalistycznym. Warto też przypomnieć na ogół mniej znane, choć bardzo charakterystyczne intrzygi, które spowodowały oderwanie od Polski sporych terenów Krajny z Piłą, Krzyżem i Złotowem.

W pierwszym projekcie traktatu z 7 maja 1919 roku obszary te, przynależące do Polski, zostały rozdane, że w pow. złotowskim rozciągały się ogromne, liczące 100 tys. morgów posiadłości ziemskie. Jeszcze niedawno były to włości polskie, obecnie skolonizowane i skupione w rękach najstarszego po koronie księcia pruskiego — Fryderyka Leopolda Hohenzollerna, kuzyna cesarza Wilhelma II. Siostra właściciela dóbr złotowskich Ludwika Małgorzata była z kolei żoną brata króla angielskiego — Edwarda VII. Prowadząc zakulisowe intrzygi na dworach panujących doprowadziły w rezultacie do przeforsowania zmiany uzgodnionej uprzednio linii granicznej. Posiadłości Hohenzollernów pozostały w obrębie państwa niemieckiego.

Wytworzona wskutek oderwania znacznych obszarów ziem etnicznie polskich sytuacja — spowodowała zrazu duży ruch przesiedleńczy. Wielu polskich mieszkańców przenosiło się do kraju. Masowo wyjeżdżała inteligencja, kupiectwo, rzemieślnicy i przede wszystkim — właściciele ziemscy. Wyrwała więc na ojczyźnie ludność polska rodzina miała charakter typowo plebejski, co nie pozostało bez wpływu na dalsze losy walki o utrzymanie polskości na zagrabionych nam ziemiach.

Ogółem w granicach Niemiec pozostało w tym okresie 1,5 mln. Polaków. Z tej liczby na obszary dzisiejszych Ziemi Zachodnich przypadało ponad 1 mln. ludności polskiej. Była ona w coraz większym stopniu narażona na bezkarną działalność reaktywowanych, polakofero nastawionych organizacji nacjonalistycznych i rewizjonistycznych, wspieranych nierazko specjalnymi bojówkami terrorystycznymi.

W tej sytuacji na porządku dziennym stał problem organizacji polskiej samoobrony przed nową falą germanizacyjnej polityki i oto w grudniu 1922 r. powstaje Związek Polaków w Niemczech — organizacja nawiązująca do dawnej tradycji walki o polskość pod zaborem pruskim. Związek powstał z połączenia różnych lokalnych organizacji i związków polskich. Obejmował pierwotnie cztery okręgi zwane dzielnicami: Śląsk, Prusy Wschodnie, Westfalia i Berlin. 12. IX. 1923 roku powstała V Dzielnicą dla Pogranicza i Kaszub, z siedzibą w Złotowie.

Związek Polaków w Niemczech skupiał tylko najbardziej aktywne elementy ludności polskiej. (W 1939 r. liczył około 22 tys. członków zrzeszonych w około 1400 organizacjach terenowych), wywierał jednak decydujący wpływ na inne organizacje polskie w Niemczech oraz na niezorganizowaną ludność polską. Związek rozwinął w okresie międzywojennym bardzo szeroką działalność, w której na szczególne podkreślenie zasługuje praca

Chlubne tradycje

Dokończenie ze str. 1

tomni nam głębokich powiązań polskich Ziemi Zachodnich z resztą kraju, i to właśnie szczególnie żywych w ostatnim, decydującym etapie walki z germanizacją, kiedy to walka ludu polskiego z tej i tamtej strony granicy toczyła się wspólnym nurtem. Jest coś niezwykle wymownego w tym, że uroczystości dla upamiętnienia walki ludu polskiego z napaorem germanizacyjnym, wiążąc w sobie obchody rocznicy drzymałowskiej z tak blisko związaną z nią rocznicą 40-lecia Związku Polaków w Niemczech, przybierają charakter wielkiej, ogólnopolskiej manifestacji właśnie w Pile, mieście które przed kilkunastu laty miało służyć wyniszczeniu polskości, właśnie we wrześniu, który przez 23 lata miał zapoczątkować ostateczną zagładę narodu polskiego.

Prof. dr MICHAŁ SZCZANIECKI

na płaszczyźnie ekonomicznej i kulturalno-światowej. Warto ją pokrócie naszkicować w oparciu o przykłady najbliższej nam, V Dzielnicy.

Głównym zadaniem ekonomicznym Związku była troska o utrzymanie i pomnożenie polskiego stanu posiadania oraz o gospodarcze uniezależnienie ludności polskiej od Niemców. W sytuacji gospodarczego zastoju i braku zainteresowania Niemców dla inwestowania na tym obszarze, było to zadanie dużej doniosłości. Realizowano je poprzez rozwijanie przez Związek instytucji spółdzielczych — banków ludowych i spółdzielni handlowych. Banki takie powstały w krótkim czasie w Zakrzewie, Złotowie, Bytowie, Kramsku Nowym, Dąbrowce i Pszczewie, a ich filie w Głomsku i Starej Święcie.

W oparciu o banki ludowe rozwijała działalność spółdzielnia handlowa „Rolnik” w Złotowie i jej filia w Wiśniewce.

O gospodarczym znaczeniu tych placówek świadczy m. in. fakt, że bank złotowski miał w 1929 r. 642 członków i blisko 184 tys. marek wkładów. Suma wkładów tego banku do 1939 r. osiągnęła 294 tys. marek. Spółdzielnia „Rolnik” w Złotowie grupowała w 1939 roku 270 członków i wykazywała się obrotem 500 tys. marek. Dobrze rozwijały się także placówki spółdzielcze na Ziemi Lubuskiej.

Organizacyjne i gospodarcze okrzepnięcie Polaków Pogranicza pozwoliło im rozwinąć skuteczną walkę polityczną i przede wszystkim — kulturalno-światową. Dobrek w pracy kulturalno-światowej jest właśnie przedmiotem szczególnej chwały. Związek pracował usilnie i skutecznie nad rozwojem polskich organizacji społecznych, młodzieżowych, sportowych i śpiewaczych, nad rozwojem prasy polskiej i polskiego czytelnictwa (Związek dysponował własną prasą składającą się z 9 dzienników i 6 periodyków, wydawana w różnych ośrodkach Niemiec). Oczkiem w głowie była walka o język polski i o polską szkołę, prowadzona przez Związek Polskich Towarzystw Szkolnych.

Podstawową formą działalności oświatowej była w pierwszych latach praca pozaszkolna. Związek jednak nie zadowalał się tym stałym rzeczą. Uporczywa walka posła Baczewskiego, prowadzona z trybuny parlamentarnej przy aktywnym poparciu niemieckich posłów komunistycznych, doprowadziła w grudniu 1928 r. do uchwalenia Ordynacji dotyczącej szkół dla polskiej mniejszości, określającej prywatną szkołę powszechną jako podstawowe ogniwo nauczania. Mimo tego aktu prawnego, władze niemieckie piętrzyły tysiące trudności w jej urzeczywistnieniu.

Przedzierając się przez mur przeszkód, Towarzystwo Szkolne zdołało już po 6 tygodniach przygotować lokale dla przyszłych szkół, zaopatrzyć je w pomo-

Jan Kocik

b. dyr. Ludowego Banku w Złotowie

„Do Złotowa przybyłem w 1927 r...”

Do Złotowa przybyłem w 1927 r. i objąłem kierownictwo Banku Ludowego. Poza pracą zawodową byłem czynny w życiu społecznym. Przez pewien okres byłem prezesem Koła Śpiewaczego a potem założyłem klub sportowy piłki nożnej „Sparta” i byłem jego prezesem. Pełniłem funkcję kasjera w Związku Polskich Towarzystw Szkolnych na obwód rejencji pilskiej. W 1928 r. powierzono mi stanowisko prezesa Koła Związku Polaków w Złotowie i funkcję tę pełniłem do czasu aresztowania w 1939 r.

W okresie międzywojennym był Złotów siedzibą biura V Dzielnicy Zw. P. w N. Od czasu powstania V Dzielnicy w dniu 23. X. 1923 do 1939 r. kierownikiem biura był p. Izidor Maćkiewicz. Również w Złotowie mieściło się biuro Zw. Pol. Tow. Szkolnych na obwód rejencji i Zw. Młodzieży Polskiej przy V Dzielnicy. Istniała tutaj również Polska Biblioteka Powiatowa z księgozbiorem 4000 tomów a kierownik Związku Młodzieży p. Henryk Jarożyk prowadził poza tym filię redakcji polskiej gazety „Głos Pogranicza i Kaszub”. Złotów był więc ośrodkiem życia polskiego b. Pogranicza i Kaszub.

W 1935 r. osiedlił się w Złotowie adwokat dr Jerzy Kostencki, jedyny prawnik Polak na całym b. Pograniczu, terenie działalności V Dzielnicy Zw. P. w N. Był on radcą prawnym Zw. Pol. V Dzielnicy i prowadził swoją kancelarię adwokacką. Z pomocy i porad prawnych korzy-

ce naukowe i sprzęt. W samej rejencji pilskiej w pierwszym roku otwarto 3 pierwsze szkoły, a w roku 1929/30 — 20 następnych (15 w pow. złotowskim i 5 na Ziemi Lubuskiej). Na obszarze V Dzielnicy istniały łącznie 33 szkoły powszechne, a poza tym 22 dokształcające szkoły rolnicze, liczne ochronki i przedszkola. W przygotowaniu kadr nauczycielskich dla tych szkół ogromną rolę odegrały Licea Pedagogiczne w Rogoźnie (męskie) i Lesznie (żeńskie).

Prowadzona od początku w ogromnie ciężkich warunkach praca, po przejęciu władzy przez Hitlera stała się nieprawdopodobnie trudniejsza. Szykany i prześladowania są coraz okrutniejsze. Nie decydowano się wprowadzić jeszcze na otwarte zamknięcie szkół czy rozwiązywanie polskich organizacji, funkcjonariusze hitlerowscy czynili jednak wiele, a znamy dobrze ich możliwości, by uniemożliwiać na każdym kroku pracę nauczycielom i działaczom społecznym. Rodzice, którzy posyłać dzieci do polskiej szkoły, byli szczególnie szikanowani.

Mimo tak rozpętanego terroru, praca Związków Polaków w Niemczech nie ustawała, a stan szkolnictwa polskiego nie ulegał zmniejszeniu. Wymagało to niebywałego, godnego najwyższego podziwu patriotyzmu, hartu i odwagi tych ludzi. Ulegli dopiero przemocy. Z wybuchem wojny ogromna większość Polaków na Pograniczu wywieszono i wysiedlono. Najdzielniejsi z nich wypełnili więzienia, a także hitlerowskie. Wielu, bardzo wielu zginęło z rąk oprawców. Ci którzy przetrwali, spotykają się dziś na wielkiej manifestacji w Pile.

W Pile, w pobliskiej Kalinie, Niemcy ustawili głaz-pomnik z napisem: „Nigdy, Niemce, nie zapomnij, co ślepa nienawiść tobie zabrała. Oczekuj godziny, która zmaże hańbę krwawej granicy: Gdańsk, Grudziądz, Chełmno, Starogard, Poznań, Bydgoszcz, Gniezno, Chodzież, Rawicz, Inowrocław, Leszno”.

W tej samej Pile, społeczeństwo w czynie społecznym wzniosło dziś inny pomnik. Na jednej jego ścianie widnieje Rodło — znak Związku Polaków w Niemczech i trzy krótkie słowa: „BYLIŚMY — JESTEŚMY — BĘDZIEMY”.



Na zdjęciu: wóz Drzymały ufundowany przez społeczeństwo Wielkopolski. Zastąpił on pierwszy wóz „pocyrkowy”.

Sam — przeciw potędze pruskiego państwa

Dokończenie ze str. 1

Kindermanna nabył za 350 marek stojący u niego w podwórzu pocyrkowy wóz i już swe 50 urodziny obchodził w ustawionym na działce przy stawie — cygańskim wozie. Nie dawało bezpiecznego schronienia rodzinie Drzymały to nowe, tknięte zębem czasu mieszkanie. Uderzenie było jednak celne. Oddbiło się głośnym echem nie tylko w kraju, ale na całym świecie, głosząc prawdę o haniebnym praktykach państwa pruskiego, o niezłomnej wierności chłopu polskiego do polskiej ziemi. Zrodziło ono szeroką społeczną inicjatywę w kraju i zagranicą zbudowania bohaterskiemu chłopu nowego, wygodnego wozu. W rok później wóz taki zbudowany w Firmie Dzieciuchowicz w Poznaniu przy ul. Rybaki odbył prawdziwie triumfalną podróż z Poznania przez Grodzisk do Podgrodzów.

„Dostałem nowy wóz i nową biedę — wspominać będzie w późniejszych latach Drzymała. — Ludziska z daleka przyjeżdżali oglądać mój wóz, a szwabę mnie wsadzili na 8 dni do „kozy”, że niby u mnie odbywają się zbiegowiska... Kiedy z kozy wróciłem, chcieli mi Niemcy dać mieszkanie w Rakoniewicach, bo ich wstyd było, ale ja nie ustąpiłem z mojej ziemi...”

Nie powiodły się więc próby złamania oporu Drzymały zakazem zbudowania domu, ani represjami, ani swoistym przekupstwem. Pruscy żandarmi uciekli się wtedy do nowych metod. Wynaleźli przepis, na mocy którego zabronili Drzymałom stać z wozem w jednym miejscu dłużej niż dobę. Nie na Drzymałową głowę taka zasadzka. Manifestacja

tepoty pruskiego żandarma, a chłop skiego rozsądku były codzienne wizyty st. wachmistrza Zingla, sprawującego z pruską pedanterią, czy Drzymała przesunął swój wóz o ten metr czy dwa, by nie stał w tym samym miejscu, w którym go zastał dnia poprzedniego.

W tym samym 1908 roku przeciwnik przygotował jednak inną, bardziej ponurą manifestację w postaci haniebnej ustawy wywłaszcze-



Małżeństwo — Michał i Józefa Drzymałowie. Zdjęcie wykonane w 1922 roku w Cegielsku pow. Wolsztyn.

Fot. (2) — archiwum

niowej, sankcjonującej przymusowy wykup ziemi pod kolonizację.

Na mocy tej ustawy w lipcu 1908 r. zapadła decyzja usunięcia rodziny Drzymały z wozu mieszkalnego. Prowadzony przeciwko niej przez kilka instancji proces, zakończył się 24. 5. 1909 r. oddaniem przez Trybunał Administracyjny w Berlinie skargi Drzymały. Historyczny wóz przemocą usunięty z działki, złożono jako pamiątkę narodową w krakowskim Barbakanie. Przetrwał tam do czasów hitlerowskiej okupacji. Czego nie odważyli się zrobić pruscy junkrzy, dokonali hitlerowcy: wóz został zniszczony.

Michał Drzymała rok jeszcze wytrwał na swej działce. Sprzedał ją w 1910 r. Nie dostała się jednak w niemieckie ręce. Nowym jej posiadaczem był Polak. Drzymałowie przenieśli się do Cegielska pod Rostawem.

W biedzie i zapomnieniu żył tu Drzymała przez 15 lat na małym gospodarstwie. Dopiero w 1928 r. odszukał go Weyssenhoff i ogłosił apel o doraźną pomoc. Z zebranych składek ofiarowano Drzymałom 15 hektarów gospodarstwo w Grabowni, pow. Wyrzysk. Dziewięć lat później — 25. 4. 1937 r. dokończył tu życia i został pochowany w pobliskim Miasteczku Krajeńskim.

Józefa Drzymałina — żona bohaterskiego chłopca, zaraz po wkroczeniu Niemców do Grabowni została osadzona w obozie przejściowym pod Bydgoszczą, a następnie wywieziona w głąb Rzeszy, gdzie w 1942 r. zmarła. Z 5 synów żyje dziś już tylko jeden — Marcin, zamieszkały w Grabowni.

Walka Drzymały i jemu podobnych bojowników chłopskich, patriotyczna postawa ogromnej większości mas ludowych spowodowały, że zakrojona na ogromną skalę akcja germanizacyjna wymierzona, zwłaszcza w ostatnich latach przede wszystkim w drobną gospodarkę chłopską, zakończyła się fiaskiem. W pierwszym dziesięcioleciu istnienia komisji kolonizacyjnej w Prusach Zachodnich np. stan własności polskiej nie tylko się nie zmniejszył, ale wzrósł o 2.491 ha. W 1915 r. okazało się, że na 460 tys. ha wykupionej na kolonizację ziemi, od Polaków przejęto zaledwie 125 tys. ha, tj. 28 proc. Reszta wykupionej ziemi była własnością niemiecką. Na obszarze Księstwa Wielkopolskiego w ciągu 20 lat wykupiono 277 obiektów, w tym 133 wielkie majątki ziemskie i zaledwie 144 gospodarstwa chłopskie.

Te zestawienia wystarczą za komentarz do działalności Michała Drzymały i wielu jemu podobnych.

MAREK WACŁAWSKI

Mgr inż. H. Szubert

dyrektor Przemysłowego Instytutu
Maszyn Rolniczych

Koordynacja – warunek nowoczesności

Mieczysław Skąpski w artykule pt. „Koordynacja? — Tak!” poruszył bardzo istotny problem, nurtujący zresztą nie tylko polską naukę. Niewłaściwie rozwiązana koordynacja prac naukowo-badawczych i projektowo-konstrukcyjnych jest tym bardziej niepokojąca w naszym kraju, że odczuwamy coraz większy brak kadry naukowej i inżynierskiej, tak pod względem ilościowym jak i jakościowym.

Został opracowany plan badań naukowych na lata 1951–65 (i dalsze) prowadzonych przez placówki naukowe Polskiej Akademii Nauk, Katedry Wyższych Szkół i Resortowe Instytuty. Plan ten zawiera problemy szczególnie ważne dla Gospodarki Narodowej. Prócz tego, poszczególne resorty opracowały swoje plany jako rozwinięcie i uzupełnienie wyżej wspomnianego planu — tematami, które uważały za niezbędne.

Na podstawie analizy, jaką przeprowadziłem studiując plan zawierający problemy szczególnie ważne dla gospodarki narodowej oraz plany Ministerstwa Szkół Wyższych i Instytutów podległych Ministerstwu Rolnictwa, mogę wysunąć wniosek, że plany te zawierają nie zawsze najwyższe zagadnienia interesujące Przemysł Ciągników i Maszyn Rolniczych. Zaznaczam, że analizę przeprowadziłem pod kątem widze-

nia potrzeb związanych z budową maszyn rolniczych i mechanizacji rolnictwa.

Szczególnie dużo zastrzeżeń mam do tzw. „części R” planu Ministerstwa Szkół Wyższych. Nie zawiera on najpilniejszych i najważniejszych prac potrzebnych wspomnianemu przemysłowi. Prócz tego szereg tam zawartych tematów rozciągnięto na zbyt długi okres czasu, prawdopodobnie ze względu na brak odpowiedniej liczby pracowników i odpowiednich dotacji. Taka sytuacja przyczynia się do tego, że instytuty resortowe i biura konstrukcyjne, nie mogąc doczekać się wyników, same rozpoczynają taki lub podobny temat. Powstaje w ten sposób zu-

na zmieniony proces (dr Tischler, Landmaschinen Institut Halle (s). „Wysokie ogławianie” może być wykonane przez mniej skomplikowane maszyny w stosunku do obecnie stosowanych.

Prowadzenia tego rodzaju prac w naszym kraju przemysł maszyn rolniczych nie odczuwał. Potencjał techniczny PIMR i biur konstrukcyjnych nie był dotychczas odpowiednio wykorzystany do prac naukowych czy badawczych instytutów rolnictwa. Sprawdzenie nowych technologii, wymaga często stworzenia i przebadania nowych typów maszyn czy urządzeń, nierzadko w działaniu opartych na zupełnie nowych zasadach. Ponieważ z reguły instytuty rolnicze w Polsce nie posiadają odpowiednio silnych zespołów konstruktorskich i prototypowni (zresztą i słusznie — moim zdaniem —) to tworzenie tam tych maszyn odbywa się zbyt wolno. Do wykonania tych prac powinny być właśnie wciągnięte biura konstrukcyjne i PIMR. Przy ścisłej współpracy agro-i zootechników z konstruktorami o wiele szybciej powstaną nowe maszyny, lepsze i sprawniejsze. Korzyści będą dwustronne — rolnicy szybciej wprowadzą nowe, postępowe technologie a przemysł będzie wcześniej wciągnięty w nowe zagadnienie. Uzgodnione już na początku prace, będą prowadzone przez odpowiednich specjalistów na odpowiednich etapach. Możliwość obrania niewłaściwego rozwiązania poważnie się zmniejsza.

Sprawa wspólnego wykorzystania drogiej i skomplikowanej aparatury z roku na rok nabiera coraz większego znaczenia. Nowoczesne badania, ich zakres oraz wzrastający „ciężar gatunkowy” tych badań, wymagają stosowania właśnie takiej aparatury, obsługiwanej przez odpowiednio przeszkolony personel. I w tej sprawie można przez zacieśnienie współpracy poprawić sytuację. Jakże są przyczyny wyżej wspomnianych nieprawidłowości? Moim zdaniem jedno z nich to:

- niechęć do rezygnowania na rzecz innego wykonawcy, z tematu zaplanowanego czy nawet rozpoczętego,
- niewłaściwie zorganizowana informacja naukowo-techniczna szczególnie międzyresortowa.

Rozwiązanie tych trudności nie jest łatwe i proste. Zgadzałem się z propozycją M. Skąpskiego, ażeby w celu nawiązania ścisłej współpracy i omówienia metod postępowania Wydział Nauki i Oświaty przy KW PZPR zorganizował spotkanie kierowników odpowiednich ośrodków naukowych na terenie Poznania.

Józef Ratajczak

Maszyny i poeci

Poezja to nie tylko sprawa człowieka. To także sprawa maszyny. Oczywiście nie wszystkich maszyn. W każdym razie maszyny matematyczne (zwane niesłusznie mózganami elektronowymi) zaczęły już tworzyć wiersze. I to wiersze całkiem niezłe, z punktu widzenia wymagań poetyki awangardowej. Zasada luźnych skojarzeń, zestawiania obok siebie słów z najodleglejszych dziedzin, eksperymenty słowotwórcze, graficzne, belkot, rejestr podświadomych doznań itp. znajduje wśród maszyn gorących zwolenników, odkrywców i epigonów. Maszyny są bowiem w określonym tego słowa znaczeniu w pełni „nowoczesne”. Nie może zresztą być inaczej. Maszyny matematyczne to przecież czółowka intelektualna świata automatów.

Prasa przynosi ostatnio coraz częściej próbki twórczości maszyn, choć, mówiąc między nami, od dawna podejrzewam, że wiele maszyn dla niepoznaki przyjmuje nazwiska i udaje młodych poetów. A może to właśnie poeci udają wysoko zorganizowane maszyny? Jak by nie było faktem jest, że twórczość jednych i drugich staje się zatruwającą podobną. Dochodzi po prostu do tego,

Mieczysław Skąpski

Na codzień czy od święta?

Na ogół nikogo nie trzeba przekonywać o tym, że działalność kulturalna powinna być koordynowana. Inaczej jednak z odpowiednią na pytanie jak ta koordynacja ma wyglądać, kto ma ją realizować i jakimi sposobami. Na to pytanie jest mnóstwo odpowiedzi i jak dotąd żadna w pełni zadowalająca.

Przed paru laty na jednym z wyjazdowych posiedzeń naszych wojewódzkich czynników kulturalnych z udziałem posłów Ziemi Wielkopolskiej w Koninie nikt nie umiał powiedzieć ile też w tym powiecie wydaje się łącznie na kulturę. Albowiem poza budżetami prezydentów rad narodowych na cele kulturalno-oświatowe świadczyć nie miały sumy takie instytucje, przedsiębiorstwa i organizacje jak związki gminnych spółdzielni, związki spółdzielczości pracy, PGR-y, związki zawodowe, ZMS, ZMW i wiele innych, nie licząc poszczególnych zakładów pracy. Kiedy zrobiono na kolanie przewidywania rachunek, stwierdzono ku niemałej konsternacji zainteresowanych, że sumy wydatkowane przez te rozmaite instytucje wielokrotnie przekraczają całoroczny budżet wydziału kultury prezydium PRN.

Nie jest to więc bagatelna sprawa, zwłaszcza, że wiadomo na ogół jak w całym kraju przedstawia się wykorzystywanie tych sum. Przedstawia się po prostu źle i wcale nie należą do rzadkości wypadki finansowania z kwot przeznaczonych na kulturę przedsięwzięć absolutnie nie z kulturą nie mających wspólnego. Przeto zrodziła się myśl koordynacji zarówno środków finansowych, jak i ich wykorzystywania. Z myśli zrodził się pomysł: Centralna Komisja Koordynacyjna do spraw Kultury oraz jej odpowiedniki na szczeblu wojewódzkim, powiatowym i miejskim. Komisje zaczęły powstawać w grudniu 1958 r. i oto teraz, po bez mała czterech latach, skierowano na nie ostre krytyki, odsądzając je niemal od czci i wiary. Czy słusznie?

Częściowo — tak. Niestety bowiem potraktowano sprawę w sposób administracyjny, tworząc na siłę komisje wszędzie, obojętnie czy były istotne ku temu powody czy nie. Poza przedstawicielami resortu kultury powołano do składu komisji przede wszystkim dyrektorów przedsiębiorstw czy zjednoczeń. Bo oni — wiadomo — dysponują pieniędzmi. No, ale nikt nie jest bardzo skory do otwierania portfela i pozwalania na zagładanie mu do niego. Nie każdy też dyrektor jest działaczem kulturalnym.

Tak więc komisje koordynacyjne do spraw kultury w przeważającej ilości wypadków niemal od chwili powołania były ciałami martwymi. W innych, bardziej pozytywnych przypadkach zbierały się co pewien czas, lecz bardzo rzadko i rozpatrywały jedynie najbardziej ogólne problemy i zasady

współpracy. Była to więc koordynacja „od wielkiego dzwonu”

Wojewódzka Komisja Koordynacyjna w Poznaniu ograniczyła w zasadzie swoją rolę do akceptowania ogólnego programu działania resortu kultury na terenie województwa i współdziałania w jego realizacji. Zbyt wiele jest palców u jednej ręki, by zliczyć ilość jej posiedzeń w ciągu roku. Wszelkie więc zadania szczegółowe konsultowano, uzgadniano i realizowano w bezpośrednim współdziałaniu Wydziału Kultury Prezydium WRN z konkretnymi kontrahentami, czy to związkami zawodowymi, czy to związkami spółdzielczymi, czy to z ZMS. I podobnie na szczeblu powiatowym lub miejskim. Taką współpracę trudno nazwać koordynacją kompleksową, obejmującą (na codzień!) całość kulturalnych poczyną.

Idea koordynacji uległa też w wielu przypadkach rozproszeniu, rozmięczeniu na drobne. Opowiadano mi, że jeśli na przykład zapytać w Gnieźnie o komisję koordynacyjną, to odpowiadają pytaniem — a jaka? Poza bowiem powiatową komisją koordynacyjną do spraw kultury istnieją tam podobne przy ZMS, PZGS, ZMW, Pow. Komisji Związków Zawodowych i w niektórych większych zakładach pracy. Ponieważ zaś kulturalni działacze na kamieniu się nie rodzą, we wszystkich tych komisjach zasiadają niemal ci sami ludzie, co powoduje, że komisje na swoich posiedzeniach nigdy nie mają komplektów, a więc i niczego większego zdziałać nie mogą. Istnieją podstawy do mniemania, że gnieźnieńskie zjawisko nie jest odosobnione.

Ale z kolei z rozmaitych publikowanych i niepublikowanych głosów na ten temat wywnioskować można, że w Poznaniu wcale sprawa ta nie wygląda najgorzej. Przeciwnie — sporo już na tym odcinku zrobiono. Podczas trwania Wielkopolskiego Festiwalu Kulturalnego wiele instytucji i organizacji ściśle z sobą współpracowało z niemałym pożytkiem. W ostatnim okresie zarówno rady narodowe jak i komitety partyjne wiele się zajmują sprawami kultury, choćby w związku z realizacją uchwały Prezydium WRN w sprawie rozwoju bibliotek i czytelnictwa.

To jest w każdym razie dobry start do dalszych poczyną. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż istnieje potrzeba szukania nowych rozwiązań, lepszych niż dotychczasowe. Duże nadzieje przywiązują się do organizującego się Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego, którego jednym z głównych zadań będzie zapewne właśnie koordynacja. I jeśli komisje koordynacyjne skupiły swoją uwagę na finansowej stronie problemu, na wyszukiwaniu materialnych rezerw, to myślę, że Towarzystwo (nie zaniedbując i tej sprawy) mogłoby rozwiązać zaniebawiane dotychczas i puszczony w zasadzie samopas odcinek społecznej działalności kulturalnej. Pobudzanie tej działalności, inicjowanie, a potem koordynowanie i pomoc w realizacji — to szczególnie ważne dla Towarzystwa zadanie.

Ale Towarzystwo rodzi się jakoś w bólach. A życie nie czeka. Pieniądzy na kulturę jest w wielu jednostkach gospodarczych i społecznych mnóstwo, a stan bazy kulturalnej w niektórych rejonach województwa całkiem niewesoły. Wydaje się, że w całym tym problemie koordynacji niesłusznie jakoś zapomniano i pozostawiono w cieniu komisje oświaty i kultury rad narodowych. A przecież jakiegokolwiek byśmy utworzyli nowe ciało żadne nie będzie miało tylu ustawowych prerogatyw do skutecznego działania jak te komisje. One mogą zajrzeć i do sakiewki dyrektora, który komuś innemu mógłby odmówić, one przygotowywać projekty uchwał dla rad narodowych i w ten sposób wyposażać pewne inicjatywy w „błogosławieństwo” władzy państwowej.

Że te komisje są szczupłe i nie zawsze mają w swym składzie najaktywniejszych działaczy kulturalnych lub dysponentów pieniędzy? To prawda, lecz nie stoi na przeszkodzie, by tych ludzi do komisji dokooptować. Przepisy zezwalają przecież na powoływanie do komisji rad narodowych także nieczłonków rady. Za mało się jednak z tych możliwości korzysta. A ostatecznie nie forum jest ważne, lecz działalność. A tę można uprawiać z pożytkiem w każdych warunkach organizacyjnych, byle tylko ludzie chcieli, bo od nich w końcu wszystko zależy.

do redaktora



Jeszcze o poetach

Szansa wymieniania nazwiska i dorobku twórczego młodego pisarza przez krytyka czy recenzenta w praktyce równa się szansy wygranej w „Koziołki”. A ponieważ szansa ukazania się tego dorobku w prasie czy wydawnictwie, by mógł go zauważyć krytyk czy recenzent, jest stokroć bardziej znikoma, trudno autorytatywnie orzekać o zasługach jednego, a brak takich u drugich.

Z zaciekawieniem przeczytałem felieton Feliksa Fornalczyka z nr-u 45 „Głosu”. Lecz okazał się on na tyle ogólnikowy (cecha wszelkich tego rodzaju notatek w prasie poznańskiej), by skutecznie nie zachęcić do dyskusji czy polemiki...

Dopiero głos Witolda Zegalskiego (nr 48 „Głosu”) i odpowiedzi tamże Feliksa Fornalczyka prowokuje do wystąpienia polemicznego.

Zastugi grupy „Wierzbak” w konsolidacji poznańskiego środowiska młodoliterackiego są raczej peioratywne. Wystąpienie „Wierzbaka” rozbilo to środowisko, skupione do roku 1959 w Kole Młodych przy ZLP. Tromtadrackie artykuły prowodyrów „Wierzbaka” od razu „pognębiły” i wykluczyły niektóre nazwiska a przypilepienie im etykiety przylgnęło do nich tak skutecznie, że do dziś nazwiska te zniknęły ze szpalt gazet i z planów wydawniczych.

To, że wyszły w „Wydawnictwie Poznańskim” tomiki członków grupy „Wierzbak” było chyba dziełem wspomnianej tromtadracji. Mój tomik, nie uzupełniany, leży w tymże Wydawnictwie od roku 1959 z gwarancją udzielenia odpowiedzi w ciągu pół roku. Do tej pory odpowiedzi nie ma. A zebrał się materiał i na drugi tomik. Choćby z pozycji drukowanych w prasie.

Jednak nie to jest istotne. Grupa „Swantewit” ogłuszona trabami „Wierzbaka” zajęła się skromną twórczością „do szuflady”, z której mimo to wyszli tom opowieści fantastycznej Witolda Zegalskiego pt. „Krater czarnego snu” (przemilczany także).

Nie do pogardzenia ze względu na oddziaływanie kulturalne w terenie jest również fakt, że trzy moje widowiska lalkowe nie schodzą z afisza Przedsiębiorstw Estradowych (kolejno) w Poznaniu, Wrocławiu i Zielonej Górze od roku 1958.

To brak szans w planach wydawniczych sprawia, że dorobek wszystkich członków grupy „Swantewit” nie widać na półkach.

Jeżeli istota działalności młodego pisarza jest okrzykiwanie zniszczonego jajka, to grupa „Wierzbak” funkcję tę spełnia na piątkę.

Wynikający jednak z tego pożytek dla literatury Poznania jest równie problematyczny, jak problematyczna jest ocena działalności środowiska, skupionego w grupie „Swantewit” na podstawie pozycji wydanych.

Wydanie utworu nie jest zastugą twórcy, lecz wydawcy i wytwórcy papieru.

JULIAN RYNOWIECKI

Chciałoby się wręcz zawołać: narzekamy w Poznaniu na brak narybku poetyckiego (choć narzekamy niesłusznie) — sprowadźmy więc kilka maszyn! Wzmocnimy środowisko młodych maszynami. I nikt się na tym nie polapie.

Ale żarty na bok.

Maszyny bowiem to konkurent nie tyle niebezpieczny co pożyteczny. Poezja maszyn to przecież memento dla określonego typu wierszowania odrzucającego logikę, sens, i wszelkie związki z przeżyciami, z problemami współczesnego człowieka. Memento, gdyż w tworzeniu abstrakcyjnych składek mogą już poetów wyręczyć maszyny. Nauczyły się tego bez trudu. A wiadomo, że maszyny potrafią na ogół, jeśli się do czegoś wprawia, lepiej, szybciej, więcej niż człowiek. Czyż więc nie one mogłyby przejąć sprawy zaspokajania ewentualnych potrzeb w tym względzie? Jeśli oczywiście istnieją potrzeby czytelnice tego typu. Jeśli znajdują się chętni do poznawania życia „duchowego” i „podświadomego” belkotu mechanizmów.

Prawdziwa poezja nie potrzebuje się obawiać grafomanii maszyn. Na odwrót. Dzięki umiejętnościom maszyn, dzięki perspektywom, jakie otwiera twórczość maszyn oczyści się wreszcie radykalnie z obcych nalotów, z katastrofalnych ucieczek na niebezpieczne pogranicza, z odwrócenia się od spraw i problemów człowieka, z pomijania problemów współczesności.

Co prawda na razie nie zachodzi obawa, aby maszyny zaczęły się zrzeszać w grupy literackie, aby zaczęły głosić „mechanicystyczne” programy poetyckie, wykluczające poza nawias prawdziwej literatury wszystko, co dotychczas zdołał napisać człowiek, jednak poetom przybył nowy konkurent równie groźny co niespodziewany.

że nie sposób odróżnić wiersza maszyn od wierszy określonego typu poetów.

Oto, dla przykładu, wiersz maszyn, przytoczony za „Nową Kulturą”:

Wytrąsne źródło
Którego fale
Na zawsze zamknęły przeszłość
Głóg zastąpił przebieżnię
I oto fioletowa godzina
W czasie której słyszy się
Jak żaba depce nenufar.

Gdyby ten wiersz opatrzyć nazwiskiem moglibyśmy powitać w autorze nowego młodego poetę. O ciekawej i bogatej wyobraźni, dysponującego szeroką skalą odważnych skojarzeń, zestawień i wyrażającego „ducha” pokolenia.

Poetom przybył w maszynach nowy groźny konkurent, niewyczerpany w pomysłach i nigdy nieznużony.

Co prawda na razie nie zachodzi obawa, aby maszyny zaczęły się zrzeszać w grupy literackie, aby zaczęły głosić „mechanicystyczne” programy poetyckie, wykluczające poza nawias prawdziwej literatury wszystko, co dotychczas zdołał napisać człowiek, jednak poetom przybył nowy konkurent równie groźny co niespodziewany.

Piotr Życki

Mała czarna - duży problem

Można powiedzieć, że zżyliśmy się z opinią, przypisującą naszej nacji skłonność do kielicha. Nasze wyniki na niwie populacji stanowią wprawdzie przedmiot społecznej troski, jednak szeregowi obywateli skłonni są dopatrywać się w wiadomych wskaźnikach — znamion narodowej krępy. Ostatnio skrzętni statystycy oznajmili, że w kraju między Odrą a Bugiem ludziska zdążają szybko do uzyskania światowego prymatu w ilości wypalonych na głowę (czy usta?) papierosów. Ponoć wystarczy pokonać jeszcze Angloamerykanów i zwycięstwo w kieszeni.

W pewnej mierze byliśmy zapóźnieni, w stosunku do takich krajów, jak Szwecja, czy USA — w picu kawy. Ostatnio milowymi krokami (czy haustami?) nadrabiamy zaniechania, przy czym poznaniacy — skądinąd znani z najwyższej przeciętnej spożycia margaryny — zasłużyli się tu wybitnie. Odbywa się to za pełną aprobatą i przy jawnym poparciu tzw. czynników, radnych snadź, że ponad kawę z polskiego zboża, którego brak — rodacy przekładają kawę, nabywaną za dewizy — których widać nie brak.

Zdaje sobie sprawę z tego, że — dla mojego dobra — najwyższa pora, bym zadeklarował się jako mający niejakie osiągnięcia na polu niszczenia alkoholu, konsumpcji kawy oraz, hm, skromnie mówiąc, na innym polu także. To gwoździ wyjaśnienia, że NIE jestem generalnie PRZECIW.

Trapi mnie wszakże to, czy nasza czołowa pozycja w światowej tabeli spożywania alkoholu, palenia tytoniu (nie mówiąc o innych sprawach...), a ostatnio picu kawy — jest czymś społecznie równie dodat-

nim, jak to, że przodujemy w rozwijaniu budownictwa okrętowego i budownictwa szkół.

O ciągłego bicia na alarm z rozmaitych okazji, sznur alarmowego dzwonu — jak to kiedyś narysował znakomity Kobyliński — całkiem sparciał. Ale jednak pokazać ten problem palcem — trzeba. Myślę o kofeinizmie. Mianem tym rektor warszawskiej Akademii Medycznej — profesor dr Marcin Kacprzak pożywa nałóg nadmiernej opijania się kawą.

Bo co do wódki, to, proszę państwa, godzi się przypomnieć o dzia-

karzy zatrudnionych w komisjach poborowych, lekarzy szkolnych i przemysłowych. A tymczasem szal kawiarstwa — obok innych plag — trwa i jest podsyćcany. Kawiarnie w miasteczkach. Kawiarnie na wsiach. Kawiarnie w PGR-ach, Kawiarnie w spółdzielniach produkcyjnych. Maluczko, a kawę zacznie się aplikować oseskom.

Powiadają, że Zachód pija kawę. To jest bezsporne. Ale nie tylko kawę. A u nas pija się ją w lokalach gastronomicznych niemal wyłącznie. Z prostej przyczyny: na ogół stajemy przed wyborem... wódka czy kawa. Czego innego na ogół nie ma.

Gdyby natomiast rozejrzeć się po Zachodzie i Wschodzie, łatwo spostrzeżlibyśmy, że ludzie konsumują tam wprawdzie mnóstwo kaw i herbat, więcej jednak, albo tyłko, piją ją soki: pomarańczowych, pomidorowych, owocowych. U nas soki, „nektary” itp. oglądamy przeważnie na Krajowych Targach. Czasem gdzieś w delikatesowym sklepie — trudne do wyśledzenia na mało eksponowanej półce. No i ostatnio (brawo za tę inicjatywę!) w nocnych barach — jako antidotum na „czystą” — sok pomidorowy.

Pijmy kawę. Jestem ZA. Ale: 1. nie leży chyba w interesie społecznym dalsze jej upowszechnianie; 2. pijmy ją przy okazji, a nie systemem non stop; 3. pijmy kawę obok innych napojów; 4. zachowując tradycyjną nazwę „kawiarnia” — umożliwmy ludziom nie gustującym w tym napoju (lub będącym tego dnia po iluś „czarnych”) wypicie tamże szklanki herbaty, czy soku.

Tak będzie zdrowiej — dla nas osobiście i dla naszej pustawej sakiewki z dewizami.

Z zapisków zrzędy

łałości komitetów przeciwalkoholowych. Także paleniem papierosów i szkodliwymi skutkami tej miłej czynności — zajęły się ostatnio nader poważne osoby. A kawą — nikt. I chyba niesłusznie. Bo jesteśmy na ogół skorzy do zwad, nerwowi, nieraz wręcz rozstrzęsieni, co najmniej zaś — pobudliwi. Tak chętnie zaś nadużywana przez nas kawa, prowadzi (ściśle: zawiera w niej kofeina) do bezsenności, niepokoju psychicznego, gonitwy myśli, podniecenia ruchowego, drżenia kończyn, potów itp. (opinie naukowców). Trudno zaprzeczyć, że trójmetyloksantyna (naukowa nazwa kofeiny) ma dodatnie działanie w określonych przypadkach jako lek; powszechnie natomiast konsumowana, w nadmiarze, pociąga za sobą ujemne skutki.

Wszystko to nie byłoby warte ani wiersza druku, gdyby nie dość pesymistyczne oceny stanu zdrowia obywateli, formułowane przez le-

okazałe baby, na ławie i pod piecem jeszcze po jednej.

— I jak też panu idzie, panie Rogal? — pytamy.

— Jak dotąd, nie najgorzej — wyjaśnia jubilat. — Oby tak dalej!

Obywatel Nadzienie Alojzy natomiast, również cukrownik i lukrownik z wykształcenia, choć nie pracuje już w swym zawodzie (aktualnie zatrudniony na stanowisku starszego ekonomisty w PPIZW), sercem pozostał cukrownikiem i lukrownikiem. Nic dziwnego, że jest lubiany w zakładzie, a zwłaszcza przez dyрекcję.

Ważne dla konsumentów

Nowy chleb, zdrowotny zwłaszcza dla starszków, wypuścił zakład doświadczalny imienia Jana Kantego. Jest to chleb 50 procentowy (50 proc. sznurka).

Dobre rady starej cukiernicy

Skarżycie się Drogie Czytelniczki, że często opadają wam babki piaskowo-wysmienie, a tym samym i ręce. Ojóż, sytuacja nie jest beznadziejna. Opadają babkę piaskowo-wysmienie naciskamy nożem. Jeżeli babka sprężynuje (odbija) można ją przerobić na makuchy do tuczenia drobiu przez przełarcie między dwiema cegłami. Babkę nie sprężynującą tnijmy na listki, suszymy i podajemy jako suchary wykwintne piaskowe.

Jeżeli natomiast suchary gościom nie podchodzą, prześcieramy je na tarce, dodajemy 3 łyżki płatków górskich, neutralizujemy zapach pachnidłem waniliowym, ugniatamy i wyrzynamy ciasteczka wykwintne sucharkowate.

W ten sposób nic się w naszym domu nie niszczy, z wyjątkiem męża. A więc, warto.

Ograniczenia na rynku papierniczym nie pozwalają zwiększyć liczby czasopism o dalszy tysiąc, w wyniku czego wiele zawodów całkowicie pozostawionych jest własnym organom. Chcąc wypełnić tę lukę, podejmuje redakcja jednodniówek dla wszystkich zawodów świata. Pierwszy numer poświęcam zawodowi cukiernika...

Cukiernika

Pod redakcją
Janusza Przybysza

Wiadomości z zagranicy

Na dorocznym konkursie polscy cukiernicy odnieśli zasłużony sukces, zdobywając szczytne I miejsce i nagrodę, tzw.: „Złoty Zakalec”. „Srebrny Zakalec” przypadł w udziale cukiernikom wyspy Tafiakote na Oceanie Spokojnym. „Brązowych Zakalców”

nie przyznano z powodu za-
trucia jury.

Wiadomości z kraju

O perspektywach i planach mówili cukiernicy na ostatniej naradzie. W dyskusji padło wiele interesujących propozycji. Obywatel Orląba, starszy mieszcz, zaproponował aby ciastka miały po 2 mikrony w przekroju poprzecznym, co z radością przyjmą nasze tak tyjące panie. Również i my się cieszymy, gdyż nie jesteśmy dostatecznie chudzi.

Nasi jubilaci

Sędziwego wieku lat 89 doczekał się znany cukrownik pan Rogal. Jubilat odwie-



Pokolenie trzydziestolatków

To tytuł artykułu wstępnego w **POLITYCE**, która rozpoczyna nowy cykl informacyjno-publicystyczny, poświęcony karierze pokolenia urodzonego w latach trzydziestych. Cykl ten ukazuje oblicze pokolenia, jego awans, blaski i cienie życiowych sukcesów.

„Pragniemy pokazać pokolenie — czytamy we wspomnianym artykule — które dzięki rewolucyjnym przemianom dokonany w Polsce, zrobiło karierę. W toku naszych dziennikarskich zwiadów natknęliśmy się na niezliczoną ilość interesujących życiorysów rozpoczynających się od słów: „urodziłem się w rodzinie robotniczej...” (...) Ostatnie zdanie brzmiało często tak: „w 1960 roku uzyskałem tytuł doktora nauk ekonomicznych...”. Nie ukrywamy celu, który nam w tej akcji przyswieca: chcemy pochwalić się awansem trzydziestolatków, wyliczyć i pochwalić funkcje, które już pełnią w przemyśle i rolnictwie, nauce, kulturze, w administracji państwowej i partii.”

W tym samym numerze **POLITYKI** znajduje się artykuł Krzysztofa Kąkolewskiego p.t. **Bez biografii** również poświęcony trzydziestolatkom, umiejscowionym pomiędzy „kolumbami” urodzonymi w latach dwudziestych a „pokoleniem atomowym” urodzonym w latach czterdziestych. Autor stwierdza:

„Pokolenie bez biografii jest pokoleniem, z którego istnienia nikt nie zdaje sobie sprawy. To właśnie trzydziestolatkowie, wciśnięci między syny: starszych od nich o dziesięć lat i młodszych od nich o 10. Pokolenie, którym nigdy się nikt nie zajmował, nie analizował, nad którym nigdy nie dyskutowano, które nigdy nie zwróciło na siebie uwagi — ba, nigdy właściwie nie zostało spostrzeżone i wyodrębnione.”

Znów mamy w **Polityce** jakiś odkrywczy temat. Aż dziw, że dotychczas nikt się tymi sprawami bliżej nie zainteresował.

Rodzina - rozwód - alimenty

W **PRAWIE I ŻYCIU** znajdujemy ciekawą dyskusję na temat projektu kodeksu rodzinnego i opiekuńczego. Sprawie tej poświęcone są dwa artykuły: Kazimierza Lipińskiego **Zasady, projekt i rzeczywistość** oraz Jana Winiarza **Trwałość małżeństwa i dobro rodziny**. Autor drugiego artykułu polemizuje z omawianym w tej rubryce artykułem p.t. **Między życiem a zasadami**, opublikowanym przed dwoma tygodniami w **Polityce**. Mimo polemicznego tonu J. Winiarz zgadza się z niektórymi тезami wspomnianego artykułu z **Polityki**. Pisze on:

„Unormowanie, jakie proponuje projekt, jest nieco rażące i rzeczywiście budzi nieodparte reminiscencje stosunków wyrosłych w innych formach. Toteż podpisuję się pod przekonywającymi wywodami U. J. i myślę, że na ten temat usłyszymy jeszcze dalsze wypowiedzi”.

Na pewno usłyszymy, tym bardziej że o projekcie (w praktyce bardzo często jest kilka kolejnych projektów) do ustawy droga daleka.

Prawa i obowiązki lekarza

Drugi temat z dziedziny prawa, którego nie sposób w naszym przeglądzie pominąć, znój-

dujemy w artykule Józefa Litwina p.t. **Projekt ustawy o zawodzie lekarza (również PRAWO I ŻYCIE)**. J. Litwin omawia projekt nowej ustawy o zawodzie lekarza, poddany pod dyskusję publiczną. Autor koncentruje się na zasadach przewodnich ustawy i najważniejszych innowacjach. Projekt ustawy obejmuje swym oddziaływaniem ogół społeczeństwa, a więc i artykuł zainteresuje wszystkich. Obok takich zagadnień jak uregulowanie dostępu do zawodu, usunięcia z szeregu zawodu, obowiązku pogłębiania wiedzy fachowej, zakresu uprawnień zawodowych, praktyki prywatnej itp. projekt wyczerpująco reguluje zagadnienia podstawowych obowiązków lekarzy, tajemnicy lekarskiej, podstawowych uprawnień lekarzy, podstawowych zasad deontologii lekarskiej i zwalczania znachorstwa. W tej ostatniej dziedzinie projekt podaje definicję nielegalnego wykonywania zawodu lekarza.

„Przestępstwa tego — czytamy w artykule — dopuszcza się ten, „kto nie posiadając kwalifikacji wymaganych do uzyskania prawa wykonywania zawodu lub będąc pozbawionym tego prawa podejmuje zawodowo lub odpłatnie, w jakiegokolwiek formie, działalność zmierzającą do rozpoznania lub leczenia chorób niezależnie od tego, czy stosuje w tym celu środki i metody uznawane przez wiedzę medyczną.”

Tak więc wśród wielu innych problemów doczekał się wreszcie rozwiązania ten, z którym od dawna nie mogliśmy sobie poradzić.

Marksizm a filozofia człowieka

To tytuł kapitalnego artykułu polemicznego Adama Schaffa w **NOWEJ KULTURZE**. Trudno omówić cały ten artykuł, którego myślą przewodnią jest pokazanie nowych problemów i pytań stojących przed marksistami w związku z pod-

Eugeniusz Pauksza

Bogaty plon

Wbrew spodziewaniam, w wydawnictwach nie ma sezonu ogórkowego. Ukazuje się sporo wartościowych, częstokroć z dawna oczekiwanych pozycji. Zajmę się dziś książkami, moim zdaniem, z ostatnich wydawnictw, najcenniejszymi.

Jak zawsze, sporo nowości rzucił na rynek księgarski PIW. Na plan pierwszy wysunąłbym frapującą, nieznaną dotychczas u nas powieść Willi Bredła, bardzo szczery, miejscami aż szokujący tą szczerością, obraz pierwszych powojennych miesięcy w Niemczech demokratycznych. Zburzony Rostock, portowe miasto, wraca wśród zmagających do życia. Krzyżują się postawy, orientacje, moralności, nowe życie wykluwa się z wielkim mozołem, nie bez omyłek i błędów. Ale właśnie ta szczerość obrazu sprawia, iż wierzy się autorowi i wierzy w roznoszoną przez niego wizję nowych, odradzonych Niemiec. Bardzo polecam tę powieść, „Nowy rozdział”, w niejednym będzie dla nas pouczająca.

Również PIW zapoznaje nas z twórczością pisarki francuskiej pochodzenia egipskiego. Andrée Chedid, „Szósty dzień”, to utwór bardzo liryczny, utrzymany w tonie wschodniej przypowieści, o akcji umieszczonej nad Nilem i w Kairze, z bohaterami babcią i wnuczką, padającym ofiarą cholery. Nad wszystkim wyłoni autorka moc miłości, która nawet śmierć przezwycięża. I jeszcze jedna pozycja PIWowska, którą starsi czytelnicy wezmą do ręki przypominając dawne wzruszenia przy lekturze, młodzi zaś zapoznając się z utworem, który w swoim czasie wywołał wiele polemik. Myślę tutaj o poprzedzonej przedmową Żeromskiego opowieści Marii Jehanne Wielopolskiej „Kryjaki”, mówiącej o dogasaniu powstania styczniowego. Jest nad czym pomyśleć i w obliczu późniejszych doświadczeń co porównać w tych polskich niełatwych losach.

Entuzjastom, a jest takich coraz więcej, celofanowej serii poetyckiej PIWu, komunikuję, iż ukazały się dwa nowe tomy. Pierwszy, to „Poezje wybrane” Johna Keatsa, zmarłego młodo wybitnego romantyka angielskiego, zdumiewającego bogactwem wizji i formy swoich utworów. Drugi, to „Liryki i poematy” Victora Hugo, tomik, tylko w przybliżeniu dający obraz skali i wszechstronności poetyckiego dorobku artysty, ale dobrane tekstowo bardzo starannie.

W „CZYTELNIKU” niemniej ciekawych nowości. W rozchwytywanej serii z „Nike” ukazała się powieść Alberto Moravii „Pogarda”, dzieje wygaszającej

miłości, świetny obraz psychologiczny, jak zawsze przy tym u Moravii pasjonujący akcją. „Pociąg i wiatr”, poemat Antoniego Słonimskiego, ilustrowany przez Feliksa Topolskiego, to pisane w roku 1940 w Londynie strofy o „młodzieńczej”, dawnej Warszawie, sporo ploteczek, lezki rzewnej i tego zakochania jakie tylko chyba Warszawiacy mają do swego miasta.

Do wspomnień przedwojennych, ale w inny już sposób, wraca w ciekawym debiucie Roman Tomczyk. „Droga jest wyboista”, to powieść relacjonująca ciąg przemian socjologicznych na wsi leżącej na terenie dawnego COPu. Pisana wartko, żywo, z humorem i miejscami sarkazmem, bogata w niebanalne obserwacje, książka ta poszerza wiedzę o Polsce dwudziestolecia.

Polskę współczesną natomiast ukazują dwie inne pozycje. Swego rodzaju rewelację stanowi

z książka na ty

tyczna młodego lekarza bytującego w zapadłym miasteczku. Świetna, wciągająca narracja, duży sposób wiedzy o współczesnej problematyce społecznej kraju — to walory tej książki. Zadebiutował wreszcie wyborem reportaży, świetny publicysta „Polityki”, Ryszard Kapuściński. Tomik „Busz po polsku” to kilkanaście reportaży, pisanych cieniutko, subtelnie, ukazujących wiele zjawisk życia od stron zupełnie nieznanymi. Większość tekstów mówi o ziemiach północnych Polski, ale są również i z innych terenów, jest także i głośny reportaż „Sztynwny”, w związku z którym było w prasie tyle hałasu...

Z nowości „Czytelnika” zalecić jeszcze pragnąłbym nowy tomik Anny Kowalskiej „Oltarze”, czterech opowiadań o niebanalnych i oddanych. Jerzy Bohdan Rychliński natomiast powieścią „Szczęście z morskimi oczami” sięga do historii sprzed tysiąca lat, sugestywnie ukazując mądrość polityki morskiej Mieszka I.

MON, wierny wojennej tematyce, wydał tom świetnych fabularnie jugosłowiańskich opowiadań wojennych p. t. Bar Titanic”. Teksty wiążą się z pierwszą i drugą wojną światową.

I ostatnia na dziś książka, którą starszym i młodszy najmocniej zalecam. Ludwik Aszkenezy zresztą jest u nas zbyt dobrze znany, by potrzebował reklamy. Wydane przez LSW „Wędrowki za zapachem śliwek”, to rozkoszna, pełna głębokich refleksji opowieść o losach krasnala Pitryska, szukającego bratniej duszy, prawdy i przyjaźni. Wiele tu klęsk ale i zwycięstw współczesnego świata!

jęciem przez nich problematyki filozofii człowieka.

„Problematyka filozofii człowieka stała się bowiem w naszym okresie ostrych wstrząsów społecznych w skali międzynarodowej i związanej z tym wzmoczonej autorefleksji nad stosunkiem jednostki do społeczeństwa nie tylko przedmiotem, lecz również instrumentem walki ideologicznej. I choćby dlatego ideolog musi zainteresować się na dłuższą metę tą problematyką, albowiem pod naporem potrzeb praktyki politycznej pęknie nawet najsolidniejszy pancerz dogmatyzmu.”

Problemy okręgu konińskiego

W **NOWEJ KULTURZE** szczególnie zainteresuje poznającego czytelnika recenzja p. t. Feliksa Fornalczyka p.t. **Zmienia się krajobraz i ludzie**. Recenzent omawia książkę poznańskiego socjologa Władysława Markiewicza p.t. **Społeczne procesy uprzemysłowienia — kształtowanie się zakładów produkcyjnych w konińskim rejonie górniczo-energetycznym**.

„Łatwiej (...) przekształcić krajobraz z rolniczego na przemysłowy niż psychikę ludzką, mimo, iż sami ludzie przyczyniają się do zmiany krajobrazu. Książka poznańskiego socjologa Władysława Markiewicza (...) jest pod tym względem bardzo pouczająca. Autor czyni bowiem przedmiotem swoich badań i opisów ową mało jeszcze u nas poznana dziedzina wpływu uprzemysłowienia na społeczeństwo, którą jedni zaliczają do socjologii przemysłu, a inni do psychologii społeczeństwa. (...) Zmiany krajobrazu objęły tak szeroki obszar powiatów południowych i wschodniej Wielkopolski, że „trudno przewidzieć, w jaki konkretny sposób dokonywać się będzie zmiana postaw światopoglądowych ludności tej ziemi”. Praca Władysława Markiewicza stanowi pierwszą sondę w ten gąszcz nowych zjawisk i nowych problemów. Te badania przyniosły już jednak cały szereg ważkich spostrzeżeń i hipotez, które wymagać będą jeszcze potwierdzeń w dalszych badaniach.”

LEKTOR